Nr. 7. Kraków, Niedziela 12. Lutego 1899. Rok I.

Wszelkie przesyłki pieniężne i listy adresować należy do Administracyi pod adresem:
Antoni Stróżyński
Kraków, Krzywa 6, I. p.
Listy nieopłacone nie przyjmują się.

Adres Redakcyi
Kraków, Rynek główny Nr. 23.

Ogłoszenia
przyjmują się w Administracyi pisma po cenie 5 cnt. za wiersz petitowy.

Numer pojedynczy kosztuje 5 cnt.

ŁĄCZNOŚĆ

dawniej „Grzmot".

Organ Stronnictwa katolicko-narodowego
oraz Związku krajowego katolicko-robotniczych stowarzyszeń.
Wychodzi co tydzień w Niedzielę.

Numera pojedyncze nabywać można:
w Krakowie:
w redakcyi pisma od 11—12 rano i od 5—7 wiecz., z wyjątkiem niedziel i świąt, u wydawcy od 9—12 rano; w biurze dzienników Hopcasa i Salomonowej; w Sukiennicach u p. Mańkowskiej i w handlu papieru p. Karlińskiego i we wszystkich księgarniach.

Nieopieczętowane reklamacye wolne są od opłaty pocztowej.

Biuro Redakcyi otwarte codziennie od godziny 10—12 i od 5—7 wieczór z wyjątkiem niedziel i świąt.

Prenumerata wynosi:
w Austryi z przesyłką: rocznie 2 złr. 50 cnt., półrocznie 1 złr. 25 cnt., kwartalnie 70 cnt.

Z Bogiem i z Narodem!
Wydawca: *Antoni Stróżyński.*

Prenumerata wynosi:
Za granicami Austro-Węgier: rocznie 4 złr., półrocznie 2 złr., kwartalnie 1 złr.

O własnych siłach.

Ruch katolicko-robotniczy w naszym kraju na większą skalę datuje się dopiero od lat czterech. Istniały wprawdzie już dawniej stowarzyszenia rzemieślnicze i robotnicze jak «Skała», «Gwiazdy», «Prace» i niezaprzeczone przynosiły korzyści, nie było jednak między niemi łączności i związkowej pracy — każde rozwijało się i działało jak mogło w danych stosunkach miejscowych.

Dopiero w r. 1895 widzimy wśród katolickich mas robotniczych ożywiony ruch organizacyjny. W ciągu ostatnich lat czterech we wszystkich prawie większych miastach naszego kraju powstają stowarzyszenia, związane w roku 1897 na zjeździe w Nowym Sączu *w organizacyę krajową*, a w roku ubiegłym w Krakowie w stronnictwo *katolicko-narodowe*.

Wśród katolicko-robotniczych placówek organizacyjnych jedno z wybitniejszych miejsc zajmuje Nowy Sącz. Przyczyniły się do tego stosunki miejscowe. Jak na Galicyą, która przedewszystkiem jest krajem rolniczym, Nowy Sącz, dzięki warsztatom kolejowym, jest znaczniejszem centrem robotniczem. Robotnicy zajęci w warsztatach mieszkają razem w tak zwanej «kolonii kolejowej». Ponętną tę okoliczność wyzyskali pierwsi socyalni-demokraci, założyli tam swoją organizacyę i szczególniejszą otoczyli je opieką, a tamtejsi socyalno-demokratyczni robotnicy nie szczędzili ze swej strony ofiar za tę pracę.

Częste odwiedziny Nowego Sącza przez pp. Daszyńskiego i Dra Marka, liczne zebrania poufne i tłumne zgromadzenia sprawiły, że socyalna demokracya uważała Nowy Sącz za centrum swoich operacyi na Podkarpaciu.

Nie wszyscy jednak robotnicy w warsztatach kolejowych podzielali zasady i obietnice przywódców krakowskich. Zasady katolickie i narodowe więcej odpowiadały ich przekonaniom i na tych podstawach powstaje 15 sierpnia 1896 r. robotnicza «Przyjaźń».

Socyalna demokracya uczuła się w swojem «prawie posiadania» zagrożoną — nie dziw, że od pierwszej chwili zerwała się z tej strony na «Przyjaźnie» szalona burza. Zaczęła się walka — w tej walce jednak, zwykle zręczni taktycy — socyalni demokraci — chwycili się fałszywej broni. Nie ograniczono się na piorunach, rzucanych na zgromadzeniach, nie dyskutowano tu zasad i programów, lecz rzucono się do wstrętnych, osobistych szykan i dokuczań. Warsztaty państwowe, to bardzo podatne do tej walki pole.

Robotnik bowiem na rusztowaniu, czy w prywatnym warsztacie szykanowany za swoje osobiste przekonania, może w każdej chwili opuścić miejsce i szukać pracy gdzieindziej. Robotnik natomiast w warsztatach państwowych, przykuty jest do wyznaczonego miejsca przez władzę, i wobec prześladowań ze strony kolegów pozostaje mu jedyna obrona: cierpliwość i stałość charakteru.

W Nowym Sączu socyalni demokraci nie byli wybredni w wyborze środków walki. Od dziecinnych dogryzków, uszczypliwych szykan i przezwisk, aż do brzydkiego oszczerstwa, którego epilogiem była trzydniowa rozprawa w Krakowie, przeszli całą skalę tej broni, która na zawsze zostanie niczem niezatartą plamą na socyalnej demokracyi, skarżącej się ustawicznie przed światem na nietolerancyę «klerykałów» i «burżoazyi».

Za mało było przeciwnikom znęcać się nad robotnikami innych przekonań, nie oszczędzano też szykan ich żonom i dzieciom. Spuchnięta nieraz twarz robotniczego dziecka powracającego ze szkoły, świadczyła dobitnie *o tolerancyi pionierów wolności robotniczego ludu*.

Mam nadzieję, że znajdzie się kiedyindziej miejsce i czas do skreślenia historyi doświadczeń Przyjaźni nowosądeckiej — tu tylko chciałem rzucić nieco światła na stosunki, wśród których rozwijała się i mężniała ta robotnicza Przyjaźń.

Chcąc jednak wobec przeciwników być sprawiedliwym, zaznaczyć muszę, że i między nimi nie brakło ludzi, co *ludzkie* mieli serce. Rozsądniejsi tego rodzaju walki nie pochwalali, reszta zawstydziła się porażką w ostatnim procesie, i walka osobistych wycieczek i dokuczań na razie trochę przycichła. Daj Boże, żeby ustała zupełnie — bo to niegodne *ludzi*.

Walka ta jednak wyrobiła z przyjaźniaków mężów; zahartowała ich wolę i do energicznej, a skutecznej pracy nad poprawą swej doli pobudziła.

O jednym tylko rezultacie ich pracy pragnę dziś wspomnieć, a mianowicie *o rozwoju przyjaźniackiego sklepiku*.

Kto bodaj raz widział Nowy Sącz, ten mógł się przekonać, że nie ma prawie w Galicyi miasteczka, w któremby więcej handel opanowali żydzi niż tutaj. Piętno geszefciarskiego sprytu tego narodu wyryło się tu bardzo głęboko. Wśród takich warunków samo marzenie o założeniu przez biedną Przyjaźń własnego sklepiku wyglądało na szaleństwo. Dzielni jednak ludzie, którzy mimo wszelkich przeciwności wytrwali wiernie przy swoim sztandarze, nie cofają się przed niczem, i nie oglądając się wcale na subwencye i uboczną pomoc, postanawiają przystąpić do dzieła *o własnych siłach*. Trzeba było działać energicznie, a przytem ostrożnie, żeby się nie narazić na nowe szyderstwa przeciwników.

Odbyto tedy sześć z rzędu zebrań, na które też zaproszono żony, żeby i one jako gospodynie, swoje zdanie wypowiedziały. Przykład tak zwanych «pionierów roździalskich», o których swego czasu pisał *Grzmot*, przyświecał inicyatorom sklepiku.

Zrozumiano, że trzy zasady zachowane być muszą, żeby sklepikowi zapewnić rozwój:

a) Towary ze sklepiku brać należy tylko za gotówkę.

b) Dywidendę zysku rozdzielać należy nie według wysokości udziałów, ale według *ilości zakupna*.

c) Właścicielem sklepiku nie ma być jednostka, ale wszyscy równomiernie członkowie.

Te trzy sumiennie zachowane zasady zapewniły sklepikowi nie tylko egzystencyę, ale piękny rozwój.

Chcąc wyrazić uznanie ludziom czynu, a zarazem inne organizacye zachęcić do naśladowania, podam krótko daty statystyczne z pierwszego, po 10 miesiącach, sklepikowego sprawozdania, które złożył prezes Przyjaźni p. Karol Radwański na zebraniu 29 stycznia b. r.

Zebranie zagaił p. Sikora, przewodniczył p. Gonko, sekretarzowali pp. Szumowski i Gorzelany.

Sklepik założono 1 marca 1898 r. Między członkami Przyjaźni znalazło się 22 robotników, którzy złożyli udziały po 5 złr. czyli razem 110 złr. Samo stowarzyszenie Przyjaźni udzieliło ze swoich skromnych funduszów 100 złr. dla wzmocnienia funduszu zakładowego. Urządzenie sklepikowe jak: lada, półki, wagi, litry, lampa, książki — kosztowało 34 złr. 66 cnt. Chcąc zaraz z początku nabywać towar z firm katolickich złożono w sądeckiem »kółku rolniczem« udział 25 złr., a za resztę tj. 150 złr. 34 cnt. zakupiono w temże »kółku« towaru na początek.

W ciągu 10 miesięcy przystąpiło 9 nowych członków z udziałem 5 złr. i wzmógł się inwentarz sklepikowy.

Sklepikiem zarządzał osobny Wydział, a względnie upoważnieni przez wydział przyj. Radwański i Krzysztoń. Sprzedawała w sklepiku uczciwie i sumiennie żona jednego z robotników, wynagradzana za pracę z początku kwotą 10 złr., później 13, wreszcie 15 złr.

Jakiż rezultat tych wysiłków po 10 miesiącach? *Ogólny obrót* dosięgnął sumy 12.645 złr. 26 cnt. *Czysty zysk* 169 złr. 40 cnt. Towar w sklepiku był tańszy i lepszy, bo sprowadzano go z większych składów np. z Tryestu i Pragi i zawsze za gotówkę. Samej mąki zakupiono w tym czasie za 2.366 złr. i 60 cnt. Członkowie założyciele zakupili towaru za 2.986 złr. 75 cnt. — Członkowie Przyjaźni bez udziału za 2.960 złr. 91 cnt. Obecnie sklepik zaopatrzony jest w towar za 560 złr. 87½ cnt., a 49 złr. 20 cnt. gotówki w kasie.

Członkowie Przyjaźni widząc tak piękny rezultat swoich uczciwych usiłowań ucieszyli się bardzo, a oklaskom niebyło końca.

Nie twierdzę bynajmniej, żeby rozwój sklepiku Przyjaźni w Nowym Sączu był »cudem«, ale w każdym razie jest przekonywującym dowodem, co można zdziałać przy uczciwej pracy, nawet tylko *o własnych siłach*.

Do rozwoju sklepiku przyczyniła się uznania godna solidarność członków i zasada podziału zysku według *ilości zakupna w sklepiku*.

Na dowód, jak się członkowie garnęli *do swego* sklepiku niech służą następujące przykłady: Przyj. *Józef Gleń* pobrał w tym czasie towaru za 238 złr. 31 cnt. przyj. *Józef Świerczek* pobrał za 178 złr. 77½ cnt. itd., pierwszemu przypada dywidenda 15 złr. 51 cnt. — drugiemu 11 złr. 63 cnt.

Ucieszeni jednak rozwojem sklepiku członkowie uchwalili nie pobrać dywidendy, ale dołączyć ją do udziału, by tym sposobem sprowadzić obrót sklepiku, sprowadzić szmalec i sloninę z Węgier, wreszcie zaprenumerować pismo handlowo-przemysłowe »Dźwignię«.

Nakoniec uchwalono — na wniosek przyj. Kaczora — przypuścić i obcych z udziałami li tylko do sklepiku, a z dywidendy odciągnąć im kwotę całorocznej wkładki do Stowarzyszenia, żeby korzystając ze sklepiku, przyczyniali się ze swej strony do utrzymania lokalów stowarzyszenia, czytelni i sklepiku, za które Przyjaźń płaci 420 złr.

Pieśnią *„Kto się w opiekę"* zamknięto to piękne zebranie.

Zdaje mi się, że tego rodzaju praca więcej przyczynia się do poprawy losu robotnika, niż czcze deklamacye polityczne, któremi tak szermuje socyalna-demokracya.

Same obiecanki chleba robotnikowi nie dadzą. Dlatego co najmniej niepotrzebnie

irytował się poseł Daszyński z p. Kurowskim do spółki na zgromadzeniu, urządzonem w 4 dni po zebraniu Przyjaźni — w Nowym Sączu — i to w uroczyste święto M. B. Gromnicznej w czasie głównego nabożeństwa o 10 z rana.

Jak donoszą ze Sącza p. Daszyński obsypywał tam robotników z Przyjaźni epitetami nie licującemi bynajmniej z godnością »robotniczego posła«... i obrońcy wolności!... Czy to uczciwe? Czyżby powodem irytacyi p. posła miał być wyrzut, jaki zapewne budzi się w sumieniu, że »szeroka« polityka zapewnia tylko posłowi mandat — a praca ekonomiczna zapewnia ludowi chleb? — Zamiast się gniewać, niechże i poseł popracuje nad założeniem w swoich organizacyach sklepików i prowadzeniem ich uczciwie.

Praca taka wyrwie lud z przepaści żydowskiej lichwy — wykształci robotników — zapewni im materyalne korzyści, — a my się za to irytować na niego nie będziemy z pewnością.

Ks. Stanisław Sopuch T. J.

Katolicka młodzież we Francyi i u nas.

Przez długie lata panował wśród katolickiej młodzieży we Francyi zastój i apatya wobec ruchu społecznego. Liberalizm zbyt głęboko wżarł się w duszę francuską, by jednostki ośmieliły się wydać mu walkę pod hasłem: Z Kościołem i przez Kościół! Młodzież, która na polu społecznem dawała znaki życia, przejętą była nawskróś zasadami Renana, czyli krótko mówiąc, była akatolicką; — katolicka zaś garstka, nie śmiejąc przyznać się do swych zasad, zaskorupiła się nakształt ślimaków i po to tylko wystawiała od czasu do czasu rożki, by je czemprędzej schować i dalej gnuśnieć. Nie była w tem wina młodzieży, a przynajmniej nie jej wyłącznie. Ogólna obojętność religijna nie mogła pozostać bez wpływu na młode gałązki. Dopiero kiedy ruch, wszczęty głównie przez Lacordaire'a udzielił się sferom inteligentnym, poczęto myśleć o zorganizowaniu młodzieży na polu społecznem.

Przed laty trzynastu założył hr. A. de Mun stowarzyszenie katolickiej młodzieży francuskiej. Wobec zaciętości rządu względem ruchu religijnego, wobec potęgi liberalizmu, wobec tego, że wszystkie wybitniejsze katedry obsadzone są ateuszami, stowarzyszenie to nie miało z początku żadnych prawie widoków powodzenia i rozwoju. Ludzie wpływowi i prasa patrzeli na nie lekceważąco — prawie z politowaniem — i nie wróżono mu długiego bytu. Rachuba ta zawiodła jednak. Stowarzyszenie młodzieży katolickiej liczy dziś swych członków na tysiące, ma swój własny — dodajmy znakomicie redagowany — organ, kierownicy jego i członkowie zasiadają w Izbie deputowanych a nawet w Akademii, wykładają z katedr uniwersyteckich, i już czują się dość silni, by zorganizować związek katolickiej młodzieży w całej Europie.

Zakres pracy stowarzyszenia jest bardzo obszerny. Wykłady popularne dla robotników, broszury, artykuły dziennikarskie, wiece, agitowanie wśród rodziny i kolegów, dyskusye z przeciwnikami, opieka nad biednymi — wszystko to i wiele innych rzeczy uprawia młodzież katolicka na wielką skalę i w duchu szczerze demokratyczno-katolickim. A przecież spotkać się tam można i to nierzadko z nazwiskami sięgającymi wypraw krzyżowych, nie brak i bonapartystów, nie brak zwolenników formy rządu republikańskiej, — zdawałoby się więc, że tu koniecznie powstać muszą jakieś kwasy, a w końcu rozluźnienie węzłów solidarności. Tymczasem tak nie jest. Jeśli co, to zgoda kwitnie w stowarzyszeniu w najlepsze, wszyscy pracują w tymsamym kierunku, wytrwale a przedewszystkiem z niesłychanym zapałem. Gdyby tylko zapał stanowił o skuteczności pracy, katolicka młodzież francuska ruszyłaby z posad ziemię i pchnęłaby ją na nowe tory.

Do związku, który zapuścił korzenie w całym kraju i z dnia na dzień rośnie ogromnie w siły, należą słuchacze uniwersytetów, literaci, prawnicy, technicy, malarze, rzeźbiarze, dziennikarze, słowem niema zawodu umysłowego, któryby w stowarzyszeniu nie liczył na setki swych przedstawicieli. W Paryżu n. p. istnieje osobno Kółko artystów-malarzy, t. zw. Société de St. Jean, które które na ulicy des Saints-Pères posiada własny wspaniały lokal, służący do urządzania zebrań i wystawy obrazów. Należy doń także kilku Polaków, prawie wszyscy z Poznańskiego. W wolnych chwilach podpisany nieraz uczestniczył w wieczorkach i poufnych zebraniach, jakie urządzali młodociani artyści, i dziwną mi się zawsze wydawała ta harmonia i braterska zgoda, jaka panowała wśród grona młodzieży o najrozmaitszych estetycznych zapatrywaniach i dążnościach.

Poruszano kwestye społeczne, polityczne, krytykowano, chwalono, a przecie w całej dyskussyi czuć było jakąś atmosferę familijną i przyjacielską, — młode te serca kochały się wzajemnie, jak tylko kochać się można. Przyczyny tej zgody nie trzeba szukać daleko. Stowarzyszenia te śmiało i otwarcie wywiesiły sztandar katolicki, zasady miłości i braterskości wprowadziły w czyn; pojedynczo czy gremialnie, prywatnie czy publicznie przyznają się do zasad Kościoła i chlubią się swym katolicyzmem. Miałem sposobność być uczestnikiem pielgrzymki, jaką urządziła w maju r. 1896 młodzież francuska do Reims, z okazyi 1400-ej rocznicy chrztu króla Franków Klodwiga. Z samego Paryża przybyły pod przewodnictwem ks. Tournade dwa osobne pociągi, jeden przybył z Lugdunu, jeden z Bretanii, — w ogóle liczbę młodych pielgrzymów obliczono na 4500. Był to właśnie dzień Wniebowstąpienia. Przybyłych powitał serdecznymi słowy arcybiskup kardynał Langénieux, poczem wszyscy udali się do wspaniałej katedry, gdzie wśród nabożeństwa złożyli gremialne wyznanie wiary. Rozrzewniający był to widok, gdy na zapytanie Czcigodnego O. Tournade: »Wierzysz w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi?« — odpowiedziało ze wzruszeniem 4500 pielgrzymów: »Wierzę«. — »I w Jezusa Chrystusa?« »Wierzę«, Odpowiedzi stawały się coraz głośniejsze, wyrazistsze, pełne ognia i zapału.

Wyznanie to wiary zrobiło na mnie silne wrażenie. Jakiś dreszcz trwogi przeszedł po mem ciele a potem rozpłynął się w szczere uniesienie; poważny a uroczysty nastrój młodzieży udzielił się i mojej duszy i powtarzałem wraz z innymi: wierzę. To publiczne, śmiałe i głośne Confiteor musiało każdemu zaimponować. Ta młodzież nie tylko w skrytości serca uprawia katolicyzm, ale wprowadza go jako pierwszorzędny czynnik w swe życie publiczne, ona cała, że użyję wyrażenia Słowackiego, dumna jest ze swego katolicyzmu i — ma słuszność.

A u nas? — Katolicka młodzież wcale nie jest bezczynną, a jeśli dotychczas rezultaty jej pracy nie są dość wydatne, to wina tego spada z pewnością nie na nią. U nas stosunkowo niedawno wszczęli ruch katolicki, toteż i młodzież nie mogła wcześniej wziąć w nim udziału. A jednak jeśli zważymy, wśród jakich okoliczności i warunków powstała między młodzieżą katolicką myśl zajęcia się pracą na polu społecznem, to zaiste musimy przyznać, że trzeba było nielada odwagi, by się na tę pracę zdecydować.

U nas, pisze Kuryer Drohobycki, żąda się od młodzieży, by oddana jedynie studyom fachowym, poza kodeksem lub anatomią nie znała żadnych innych ideałów, by z apatyą przyjmowała wszelkie ruchy społeczne, do zgłębiania których pozostanie jej rzekomo dosyć czasu poza murami uniwersytetu.

Tak radzą ludzie, którzy w rzeczywistości nie zaznali nigdy młodości, którzy nie znali nigdy ognia i żaru młodzieńczego, ktorzy wtedy myśleli o złotych kołnierzach i orderach, gdy ich rówieśnicy marzyli o pracy dla Kościoła i Ojczyzny, którzy w młodości z chłodną rozwagą mierzyli widoki swej karyery, którzy chwile wolne od rautów, komersów, gier i tym podobnych czynności, poświęcali nabożnym rozmyślaniom, jakim dobrym ożenkiem możnaby sobie zapewić wpływy i intratne posady. Zapewne, że młodzież nie powinna zajmować się polityką, ale i obowiązkiem jej jest praca na polu społecznym.

Nie każdy umie być tak praktycznym, nie każdy wśród wiosny życia umie zachować spokój i chłód starca, nie każdy umie po stoicku rezonować o przyszłości, gdy krew szybkiem tentnem bije o skronie, nie każdy umie tylko myśleć o sobie, gdy widzi nędzę swych braci, gdy widzi ucisk tych, z pośród których wyszedł. Toteż młodzież katolicka, przed którą otwiera się jak najszerszy horyzont pomyślnej pracy, nie mogła i nie chciała pozostać bezczynną. Zawiązał się komitet, który postanowił zbliżyć się do sfer robotniczych, popularyzując zdobycze wiedzy, podnieść ich poziom umysłowy i w ten sposób współpracować z ludźmi dobrej woli na korzyść Kościoła i Ojczyzny. Niedawnemi czasy komitet, który już pracuje w Krakowie i w okolicy, zebrał się w komplecie u ks. prałata Skrzyńskiego, by zastanowić się nad kilku ogólnymi wytycznymi, których się w pracy społecznej trzymać należy.

U czcigodnego ks. Prałata, który bez rozgłosu zrobi więcej od niejednego z «rozgłośnych«, u tego wzoru demokraty katolickiego, u tego kapłana, którego *czyny* winneby służyć za model *postępu*, zebrali się z młodzieży akademickiej członkowie jej komitetu katolicko-społecznego: pp. Adam Konopka (przewodniczący), Zygmunt Niwicki, Adolf Chybiński, Michał Szybalski, Kazimierz Rychłowski, Tadeusz Przeorski, Michał Paciorkiewicz, Paprocki, Kawski, Reklewski, Kłodziński, Zygmunt Lisowski, Leonard Macieliński, Feliks Laberschek, Stepek, Pawlikiewicz i Kazimierz Ostrowski. Dobrane to grono zastanawiało się wytrawnie nad sposobami zużycia młodych sił do akcyi zamierzonej na metę o wiele dalszą, niż potrwa młodość.... Jakiż tam serdeczny panował nastrój, jak się manifestowała *łączność pokoleń*, będąca najlepszą rękojmią powodzenia! Były bowiem trzy pokolenia: najstarsze przedstawiał przezacny Gospodarz, Nestor naszej sprawy; pośrednie reprezentowali obecni, prezes komisyi wykonawczej stronnictwa p. Stróżyński i pp. Dr. Koneczny i Dr. Krotoski; trzecie zaś dziarska odważna, młodzież. Starsi wynieśli z tego zebrania wiele otuchy, właśnie dlatego, że komitet zawiązał się nie z ich inicyatywy, lecz *samejże młodzieży!* Nie sztuczny to wytwór tedy, ale od serca! Cała zasługa utworzenia komitetu przypada młodzieży. Znać, że nie brak na ławach uniwersytetu takich, którzy garną się do dobrej sprawy i byle im tylko dać pole do popisu, wyruszą śmiało naprzód.

Obyż ten komitet stał się zawiązkiem stowarzyszenia katolickiej młodzieży, które ogarnie kraj cały i do pracy społecznej przyniesie nowy zasób sił, zapał, odwagę i fachowe wykształcenie.

Na razie witamy z zapałem ten mały komitet, oddający się do dyspozycyi Związku stowarzyszeń katolicko-robotniczych. Upatrujemy w nim ziarno gorczyczne, które kiełkuje, ażeby okazać katolickiemu światu, że polska młodzież nie gorsza od francuskiej! *Józef Mosch.*

Opieka nad zdrowiem.

III.

Drugiem połączeniem węgla z tlenem, jeszcze bardziej trującem jest *czad* — tworzy on się wszędzie tam, gdzie się palą węgle i uchodzi kominami w powietrze — tam się rozchodzi tak, że nie ma żadnego szkodliwego znaczenia. Ma jednak ogromne znaczenie w innych warunkach. Jeśli węgle palą się w piecu, a drzwiczki są uchylone, tak, że dość powietrza dopływa, to i czadu mniej się tworzy, a ten co się wytworzy, zostaje porwany ciągiem powietrza do komina. Jeśli zaś drzwiczki zamyka się szczelnie, zanim się jeszcze węgle wypaliły, to czad zbierający się pod dużem ciśnieniem, nie mogąc odejść do komina, wychodzi szparami pieca na pokój. Niedawno się zdarzyło w Krakowie, że cała rodzina położywszy się wieczór spać, rano się już nie przebudziła, a po usilnych staraniach, tylko dwie osoby z pięciu zdołano uratować.

Czasami inny może być powód zatrucia czadem. Rura przeprowadzająca gaz świetlny pod ziemię, pęknie; gaz się wydobywa, przechodząc przez ziemię pozbawia się przykrej woni, a dostawszy się już bezwonny przez szpary w podłodze do miesz-

kania, może spowodować zatrucie. Jakie są objawy tego zatrucia?

Z początku tylko ból i zawrót głowy, pulsowanie silne tętnic, szum w uszach, gorąco w twarzy, migotanie przed oczami i wymioty. — Pomału występuje utrata przytomności, bladość i sinica skóry, oddech krótki i przerywany, wreszcie drgawki i śmierć. Jeśli znajdziemy się w takiem położeniu, że widzimy kilka osób w jednym pokoju, blado sinych, nieprzytomnych, gdy dowiemy się przytem, że położyli się zdrowi spać, to przypuszczać możemy zatrucie tlenkiem węgla, czyli zaczadzenie. Zastanówmy się teraz nad tem, jak w takim wypadku postąpić należy. Przedewszystkiem wynieść człowieka zaczadzonego na świeże powietrze i ułożyć go wygodnie, z podniesioną nieco głową — następnie skrapiać mu twarz i ciało wodą, nacierać ciało mocno szczotkami, robić sztuczne oddechanie, o którem zaraz będzie mowa, a przedewszystkiem postarać się o spieszne przybycie lekarza. Gdy chory daje już znaki życia i przytomności, to podawać mu trzeba obficie czarną kawę, samą lub z rumem.

Ponieważ tutaj nasunęła się sama przez się sprawa sztucznego oddechania, i takowe jeszcze nieraz nam jeszcze będzie potrzebne, przeto zaraz o niem pomówimy. Jeśli człowiek nie może sam oddechać z powodu nieprzytomności lub osłabienia, to trzeba mu tego ożywczego powietrza w płuca wpędzić, gdyż inaczej zginie z uduszenia. Powszechnie używamy do tego dwóch sposobów: 1) Staje się z tyłu za głową leżącego chorego, ujmuje się jego ręce (w ten sposób, że swoją lewą ręką ujmujemy jego lewą rękę, a swoją prawą jego prawicę), następnie szybkim, gwałtownym ruchem podnosimy te jego ręce aż ponad jego głowę. Później rozkładamy je na boki i przyprowadzamy do pierwotnego położenia. Te ruchy wykonywane szybko, sprawiają rozszerzanie się klatki piersiowej i wpadanie powietrza do płuc; 2) Stajemy również za głową chorego i ujmujemy silnie oboma rękami brzeg jego żeber. Następnie pociągamy mocno do góry i ku sobie, przez co się klatka piersiowa rozszerza a powietrze do płuc się dostaje. Następnie silnym powolnym ruchem, ugniatamy klatkę piersiową i powietrze z niej wypędzamy. To powtarzamy raz za razem. Zapomnieliśmy wspomnieć jeszcze, że przy pracach w kopalni, w tunelach, w ogóle w zamkniętych przestrzeniach, tam, gdzie dużo używają prochu i dynamitu do wysadzania skał, wytwarza się znaczna ilość czadu, a przebywanie dłuższe w przestrzeni wypełnionej gazami wybuchającymi jest szkodliwe.

Są jeszcze inne lotne zanieczyszczenia powietrza, bardzo szkodliwe, n. p. pary fosforu w fabryce zapałek, ale o nich pomówimy obszerniej wtedy, kiedy będzie mowa o zachowaniu zdrowia wśród pracy i o ochronie robotników. W powietrzu unoszą się także bardzo liczne ciała stale roztarte na najdrobniejszy proch, czyli pył. Są to odrobinki piasku, wyschłej gliny, prochu z wyschłego błota, nawozu końskiego, pyłki nasienne roślin i t. p. Niema wprawdzie powietrza zupełnie wolnego od kurzu, ale są pod tym względem znaczne różnice. I tak, powietrze wsi zawiera go znacznie mniej niż powietrze miasta; podczas ciszy mniej go jest niż podczas lekkiego wiatru, który tumany kurzu z ziemi podnosi. Jeśli sobie wyobrazimy, że na 1 cm. kubiczny powietrza wiejskiego przypada 500—5.000 pyłków, a w mieście nieraz do 500.000, to zdumieć się musimy nad ogromną ilością pyłków, które przez dzień do płuc naszych się z powietrzem dostają. Na szczęście znowu sama natura dobrze sobie z nimi radzi. Osiadają one przeważnie na ścianach przewodów oddechowych i zostają wykształszane ze śluzem na zewnątrz. Gdy jednak ilość pyłu przekroczy miarę — wtedy organizm musi na tem ucierpieć. Dzieje się to w rozmaitych gałęziach przemysłu, a mianowicie: U górników w kopalni węgla płuca są przepełnione pyłem węglanym, w fabrykach wyrobów metalowych, pilników, pyłem żelaznym, u kamieniarzy, szklarzy, pyłem mineralnym, w fabrykach tytoniu pyłem tytoniowym, wreszcie w fabrykach bawełny pyłem bawełnianym.

Nie jest to wtedy rzeczą dla organizmu obojętną, bo płuca tak zanieczyszczone mało są odporne na choroby płucne. Ludzie tacy skarżą się na duszność, ciągle pokasływanie, plucie, a nieraz się u nich rozwijają suchoty płucne. Na szczęście dzisiaj już przepisy wzięły robotników w opiekę i zaczynają już dzisiaj stosować różne w tym celu ostrożności, jak n. p. maski przed usta robotników i silne przewiewy, które pył szkodliwy wprost od maszyn porywają.

W powietrzu unosić się także mogą zarazki różnych chorób zaraźliwych — szczególnie naokoło samego chorego na chorobę zaraźliwą, dlatego też powietrza w blizkości chorego należy unikać, a przynajmniej nie zbliżać się do chorego w ten sposób, aby oddech jego szedł nam prosto w twarz. Wspominamy tu o tem dla zaokrąglenia wiadomości o powietrzu — a swoją drogą przy omawianiu chorób zaraźliwych, dokładniej o tem pomówimy.

Pozostaje nam jeszcze jedno do omówienia, a mianowicie rzecz o t. zw. ciśnieniu powietrza. Jeśli powietrze jest czemś, to oczywiście musi mieć swą wagę, boć wszystkie ciała mają pewną wagę. Kawałeczek gęsiego puchu lekki jest i w kłopocie byłby niejeden, mając oznaczyć jego wagę, a przecież worek pierza waży dość dużo... Tak i trocha powietrza nie jest ciężka, ale wiele warstw nagromadzonych jedna na drugiej w końcu zaciężyć musi. Teraz wyobraźmy sobie, że na powierzchni ziemi jesteśmy pod naciskiem ogromnego słupa powietrznego, ciągnącego się 6—8 mil nad naszymi głowami. Powierzchnia naszego ciała wynosi w przybliżeniu metr kwadratowy, a powietrze wywiera na tę powierzchnię nacisk wynoszący około 10.000 kg. Jakże my możemy ten szalony nacisk wytrzymać. Powietrze nie ciąży w zwykły sposób, jak kamień. Ono uciska jak sprężyna, dolne części dźwigają górne i dolne starają się wymknąć z pod tego ucisku gdzie się da: na prawo, na lewo, w dół i do góry. Uciskają tedy człowieka z tyłu, z przodu z siłą równą tej, jaka je przygniata; tym sposobem ciężar cały rozkłada się na całe ciało i działając równie silnie ze wszystkich stron, wzajemnie się znosi.

Ustrój ludzki jest przystosowany do tego ciśnienia, jakie na powierzchni ziemi stale panuje — to też, gdy dostanie się do powietrza o znacznie większem lub znacznie mniejszem ciśnieniu, to może na tem ucierpieć. Nie myślcie, że to tylko tak się mówi aby mówić. Taką okolicznością, przy której się ciśnienie zmienia, jest z jednej strony pobyt na wysokich górach, a z drugiej strony praca w tak zwanych «kessonach», t. j. przy robotach podwodnych, n. p. koło mostów. Robotnicy pracujący na dnie takiego «kessonu», który przedstawia skrzynię zamkniętą, gdzie powietrze jest pod ciśnieniem 2 do 3 większem niż zwykle, przyczyniają się do tego ciśnienia. Gdy atoli ciśnienie to nagle się zmniejszy, czy to przez nagłe wpuszczenie powietrza zewnątrz, czy też gdy robotnik nagle wyjdzie z «kessonu», wtedy występują ciężkie nieraz zaburzenia w zdrowiu, z których lżejsze polegają na nudnościach, wymiotach, krwotokach z nosa i uszów, bólach w stawach i mięśniach, a cięższe objawiają się wprost porażeniem, czy to nóg, czy połowy ciała, a kończą nieraz śmiercią. Niektórym ludziom nie służy także pobyt na wysokich górach. Doznają tam oni znużenia, trudności w oddechaniu, a często też krwotoków z nosa i uszu i omdlewają.

Od zachorowania podczas robót wodnych można się ochronić przez uważne postępowanie, przez ostrożne, niezbyt nagłe przewietrzanie «kessonów» i nie nagłe opuszczanie takowych. Wychodząc pomalutku ku górze, przyzwyczaić się trzeba do zmniejszenia ucisku powietrza.

Na tem kończymy naszą pogadankę o powietrzu a przystępujemy do czegoś więcej uchwytnego, co jeśli nie wziąć w rękę, to przynajmniej czerpać się daje — jednem słowem do wody.

Dr. Jan Walkomski.

Korespondencye.

Steinbruch koło Pesztu.

Dziś dnia 29 stycznia odbyło się poufne zebranie w filii »Przyjaźni« na Steinbruchu. W zgromadzeniu wzięło udział przeszło 300 osób, między któremi dwaj księża Węgrzy. Zabierając głos, chwalili to piękne dzieło organizacyi Polaków na katolickim i narodowym gruncie oparte i dowodzili, że jeżeli tak wytrwale, w zgodzie i jedności postępować będziemy, jeżeli pójdziemy w miłości bratniej ramię przy ramieniu, to nie zadługo stworzymy największe i najpotężniejsze Stowarzyszenie na Węgrzech.

Dowiedzieliśmy się, że kaplica, którą nam chcą ustąpić, została dawniej przez Polaków założoną i tembardziej dążyć do tego musimy, ażeby znowu przeszła w nasze posiadanie. Lecz cóż, kaplica, jako zupełnie zniszczona, potrzebuje gruntownej restauracyi a więc funduszów, a my choć nas jest około 10.000 na Steinbruchu, wszyscy biedni, zaledwo mogący wyżyć ze swoimi rodzinami. Nie pozostaje nam tedy nic innego jak odezwać się do naszych rodaków, odezwać się do ich szlachetnych uczuć religijnych i patryotycznych: pomóżcie biednym robotnikom polskim, iżby mieli kąt własny, gdzieby mogli chwalić Boga! gdzieby mogli konserwować siły swoje! gdzieby mogli stworzyć najsilniejszą redutę przeciw wynarodawieniu się!, a kto wie czy ona kiedy nie powstrzyma najazdu nieprzyjaciół wiary i Ojczyzny.

Zostajemy łaskawej Redakcyi z największym szacunkiem, w imieniu Stowarzyszonych w filii »Przyjaźni« na Steinbruchu.

Jan Dabiosz.

Od Redakcyi. Upraszamy łaskawych ofiarodawców o nadsyłanie na ten cel datków pod adresem Administracyi »Łączności« Krzywa 6. Kraków, a szanowne Dzienniki o powtórzenie niniejszej odezwy.

Z naszych stowarzyszeń.

Karnawał. Wir zabaw karnawałowych pobudził sfery rzemieślniczo-robotnicze do urządzenia balu dla członków połączonych stowarzyszeń katolickich, aby po ciężkiej i żmudnej pracy rozweselili swój umysł i odetchnęli atmosferą przyzwoitej zabawy. Nie mniej cel był jeszcze i ten, aby zadzierżgnąć nowe i zacieśnić stare węzły przyjaźni.

Zabawa jaka się odbyła dnia 4 bm. najlepiej świadczy o korzystnym wyborze drogi i o ile organizacya katolickich rzemieślników i robotników cieszy się sympatyą szerokich sfer społeczeństwa naszego miasta. Literalne przepełnienie sali jest najlepszym tego dowodem, a zarazem wyraźnym protestem przeciw ujadaniu nieprzyjaciół, szerzeniu nienawiści, i rozbijaniu naszego społeczeństwa na sztuki. Nastrój serdeczny jaki panował, zatarł i usunął kastowość a harmonia wywołana zachowaniem się gości zaproszonych, których losy postawiły na innym szczeblu drabiny społecznej, dowodziła, że tworzymy jedną, wielką, owianą wzajemną życzliwością rodzinę.

W przepięknie przystrojonej zielenią, dywanami, portyerami i festonami sali Strzeleckiej punkt o godz. 9 rozpoczął się pamiętny, niejako popisowy bal rzemieślniczo-robotniczy. Honorowe miejsce zajął biust naszego wieszcza Adama, zkąd duch jego spoglądał na tę harmonię stanów, która każe wróżyć o lepszej przyszłości.

Przy dźwiękach dziarskiego naszego poloneza, granego przez muzykę 20 pułku pod batutą kapelmistrza p. Maleczka, otworzył Bal wiceprezydent miasta dr. Karol Pieniążek prowadząc panią Stróżyńską. W drugiej parze dr. Konstanty Lipowski, wiódł panią Repetowską; pan W. Redyk szedł z p. Kopaczyńską, p. Stróżyński z p. wiceprezydentową Pieniążkową, p. Wojnarowicz z p. Bojarską, Doc. dr Rostworowski z p. Starkową, mec. dr. Guńkiewicz z p. Balukową itd. Ogółem stanęło do poloneza 80 par. Z rzemieślnikami i robotnikami stow. »Przyjaźni« »Pracy« »Jutrzenki« »Gwiazdy« i innych pokrewnych stow. łączyli się w serdecznej harmonii liczni majstrowie i pracodawcy z żonami i córkami i wiele osób wybitnych z naszego miasta. Na balu widzieliśmy prof. Czerkawskiego, mec. dr. Bobilewicza, dr. Kwiecińskiego, dr. Caro, radnego miasta Armółowicza, p. E. Gralewskiego. Z duchowieństwa byli: ks. prałat Skrzyński, ks. dr. Julian Bukowski, ks. kan. Łabaj, ks. kan. Flis, i ks. Tomasz Bukowski. Tańce pro-

wadził niestrudzony p. Bobólski, członek »Pracy« z p. Grafem. Do kadryla stanęło 180 par. Prócz tego przybyło wiele osób w ładnych kostyumach, a w szczególności wiele nadobnych twarzyczek, cór naszego grodu. Zabawę pobudzało do żywszego tętna 4. klownów swymi wesołymi żartami, do tego zaopatrzeni w pęcherze pobudzali do homerycznego śmiechu. W chwili zaś kiedy »żyd«, nieodstępny towarzysz wszystkich zebrań społeczeństwa, wjechał na wcale udatnym słoniu, radości i niewinnemu oburzeniu nie było końca. To też grad spadających pocisków i pęcherzów na nieproszonego intruza, tak oddziałał, że wesołość dosięgła punktu kulminacyjnego. Obraz ten rzadkiej wesołości, oświetlił p. Mądrzykowski ogniami bengalskimi. Zabawa przeciągnęła się do 6 godz. rano, wyrabiając dobrą markę stow. katol. robotniczym, i pozostanie na długo w miłej pamięci uczestników.

Szanownemu Komitetowi, urządzającemu zabawę i wszystkim, którzy się do uświetnienia jej przyczynili, należy się słuszna podzięka, a olbrzymie powodzenie i ładny dochód zachęci ich w przyszłym roku, do urządzenia zabawy na niebywale szeroką skalę.

W Przyjaźni w Zakrzówku odbyło się dnia 5 b. m. poświęcenie nowego lokalu. Obrządku tego dopełnił przew. ks. prałat dr. Chotkowski. Podczas poświęcenia robotnicy odśpiewali «Kto się w opiekę», poczem ks. prałat w tkliwych słowach skreślił bliżej wzniosły cel stowarzyszenia, życząc mu jak najpomyślniejszego rozwoju. Zabierali jeszcze głos przyjaciel Zydroń, delegat Przyjaźni zwierzynieckiej i ks. kurator Kluka, którego mowę przyjęto łacznymi oklaskami i wiwatami.

Co słychać u nas i zagranicą?

Galicyjska Kasa Oszczędności. Nie mówiliśmy nic o tej sprawie w ostatnim numerze, bo skontrum Kasy nie było jeszcze ukończone; dzisiaj jednak możemy dać naszym czytelnikom jasne pojęcie o przebiegu tej sensacyjnej afery.

Przed laty 18 przyszedł do dyrektora Kasy Zimy p. Szczepanowski, który właśnie był wrócił do Galicyi po kilkoletnim pobycie w Anglii, z propozycyą, by mu dyrektor Kasy przyszedł z pomocą w jego przedsiębiorstwie. P. Szczepanowski chciał mianowicie podnieść nasz przemysł naftowy, posługujący się dotychczas najprymitywniejszymi środkami, przez wprowadzenie kanadyjskiego systemu wiercenia. Dyrektora Zimę uderzyła śmiałość tej myśli, i umiejąc ocenić jej znaczenie dla całego kraju, nie odmówił pomocy. Rozchodziło się zresztą stosunkowo o małą sumę, bo Szczepanowski otrzymał swe pierwsze tereny naftowe od ich właściciela za darmo, a przedsiębiorstwo okazało się z początku tak zyskownem, że Szczepanowski mógł już w sąsiednim Peczeniżynie założyć własną rafineryę nafty. Zobowiązania przedsiębiorczego dłużnika Kasy rosły z każdym dniem, zwłaszcza kiedy Szczepanowski zakupił kopalnie węgla w Myszynie i Dżurynie, które, acz same przez się zyskowne, wobec macoszego traktowania przez koleje galicyjskie, zostały pozbawione wszelkich miejsc zbytu.

Żeby Szczepanowskiemu pomódz do wygramolenia się z kłopotliwej sytuacyi i zarazem wyciągnąć odeń kapitały Kasy Oszczędności, dyr. Zima dopomógł mu do dalszego przedsiębiorstwa, które obiecywało szybkie i olbrzymie zyski. Była to Schodnica, to przez Szczepanowskiego odkryte Eldorado przemysłu nafciarskiego. Kopalnie schodnickie przewyższyły wszelkie oczekiwania i same byłyby starczyły na pokrycie wierzytelności przedsiębiorcy. Wtem w r. 1894 otrzymuje p. Zima polecenie z Namiestnictwa, by dłużną kwotę w przeciągu roku od Szczepanowskiego ściągnął. Pod tą presyą sprzedał Szczepanowski tereny naftowe w Schodnicy za 2,200.000 zlr., która to kwota nie pokryła całkowicie długu w kasie lwowskiej. Tereny te mają obecnie wartości 36 milionów i są własnością banku angielskiego. Ponieważ w owym czasie Szczepanowski pochłonięty był wyłącznie przez politykę, oddał więc przedsiębiorstwo swemu krewnemu p. Wolskiemu i jego spólnikowi Odrzywolskiemu. Ci przyjęli wszelkie zobowiązania Szczepanowskiego względem Kasy Oszczędności i wystawili na to w lipcu roku 1897 formalną deklaracyę.

Żeby nie narazić Kasy na stratę sumy, którą przejęli na siebie Wolski i Odrzywolski, musiał im Zima znów przyjść z pomocą, i wnet powołali oni do życia nowe olbrzymie przedsiębiorstwo w Schodnicy, które w przeszłym roku przyniosło nafty za 1,000.000 zlr. Bank górniczy w Düsseldorfie ofiarował za nie cenę kupna 4,800.000. Długi jednak przedsiębiorstwa doszły do poważnej cyfry 5,900.000. Gdy od pewnego czasu zaczął się gorączkowy, niepokojący ruch ludności, odbierającej z pośpiechem swe wkładki z Kasy Oszczędności, dyrektor Zima poprosił o nieograniczony urlop, a przeprowadzone skontrum Kasy wykazało, że wątpliwe pozycye w Kasie wynoszą blisko 7 milionów.

Dział hipoteczny, gdzie zaangażowanych jest około 21 milionów, stoi dzięki umiejętnemu kierownictwu dyrektora Smolki niezachwiany. Straty wynosić będą co najwięcej 250.000 zlr.

W rachunku *bieżącym* znajduje się już więcej wątpliwych pozycyj, między któremi dużo dają do myślenia długi urzędników Kasy wynoszące przeszło 150.000 zlr. Niektórzy urzędnicy winni są sumy trzy, cztery, sześć razy wyższe od ich rocznej pensyi.

W dziale wekslowym znajdują się weksle Szczepanowskiego, Wolskiego i Odrzywolskiego na łączną kwotę 5.900.000 zlr., innych weksli przeważnie grzecznościowych na 350.000 zlr., między nimi weksel syna p. Zimy na dwadzieścia kilka tysięcy. Oto rezultat gospodarki dyrektora Zimy.

Nie bardzo to poprawna gospodarka, to przyznać musi każdy. Że byt Kasy stoi pomimo tego wszystkiego niezachwiany, na to mamy stanowcze oświadczenia namiestnika hr. Pinińskiego, obecnego dyrektora Kasy dra Zgórskiego, prezydenta Izby handlowej p. Marchwickiego i wielu ludzi fachowych. Na pokrycie ewentualnych strat posiada Kasa fundusz rezerwowy wynoszący przeszło cztery miliony, prócz tego w krytycznej chwili przyszedłby Kasie w pomoc rząd i kraj. Spodziewamy się jednak, że do tego nie przyjdzie. Dług wekslowy spółki naftowej jest zabezpieczony na całym majątku pp. Szczepanowskiego, Wolskiego i Odrzywolskiego, ten zaś jest tak olbrzymi, że przy umiejętnej gospodarce spółka wyrówna wszelkie zobowiązania swe względem Kasy.

Cała ta sprawa dużo a dużo nas nauczyła. Rzuca ona charakterystyczne światło na niektóre nasze zwyczaje i nasuwa rozmaite refleksye.

A najpierw parę słów o roztropności. Zapewne, że powinniśmy mieć zaufanie do instytucyj krajowych i do funkcyonaryuszy tychże instytucyj. Przesadzona i złośliwa podejrzliwość, podsuwająca tymże funkcyonaryuszom osobiste motywa w działaniu, jest dla dobra publicznego wręcz szkodliwa. Równie jednak troskliwie unikać trzeba ślepej wiary i pobłażliwości, patrzenia przez palce na błędy i usterki, bo często, jak mówi *Echo przemyskie*, zdarza się, że człowiek otoczony takiem nieuzasadnionem i przesadnem zaufaniem, właśnie wskutek tego zbacza na manowce. Urząd swój poczyna uważać nie za mandat, powierzony mu przez społeczeństwo, ale za swoją własność; nadużywa go dla celów swej partyi, na korzyść tych, z którymi sympatyzuje, jak we Lwowie, a czasem nawet na własny pożytek, jak Kieszkowski we Floryance. Czas zerwać z tym systemem wzajemnej admiracyi, kosztował on nas spore sumy grosza publicznego. Zaufanie nasze powinno być roztropne i czujne, a wątpliwości podnoszone przeciw lekkomyślnej gospodarce, nie powinne być uważane za osobistą napaść na tego lub owego funkcyonaryusza, lub za chęć podkopania instytucyi, lecz za zbawienny głos przestrogi, który bez echa przebrzmieć nie powinien.

A dalej kto rzucił popłoch, kto stał się sprawcą nieopisanej paniki, która ogarnęła szersze sfery? Żydzi. W jednym dniu sala likwidatury napełniła się nagle żydami, przybyłymi jednego dnia jakby na komendę, z prowincyi, a równocześnie zaczęła się na wszystkich punktach szalona agitacya chałaciarzy i wykupno książeczek między biedniejszą ludnością wiejską i miejską. Rabini natychmiast demonstracyjnie udzielili dyspenzy od szabasu, znikła czarna giełda z wałów hetmańskich, dając sobie *rendez-vous* w gmachu Kasy. Zuchwalstwo żydów doszło do tego stopnia, że żydzi zaczęli gwizdać i odgrażać się urzędnikom, tak, że pomoc policyjna okazała się nieodzowna. Było to żydostwo zorganizowane na to, ażeby Kasę podkopać, rozbić, a wkładki przenieść do założyć się mającego banku żyda dra Byka. Gdyby Kasa się zachwiała, runęłyby dziesiątki mniejszych instytucyj, Kółka rolnicze, a owoce z tego zbieraliby żydzi, którzy mają pieniądze i umieją tak zgrabnie narzucić swój lichwiarski kredyt. A więc baczność przed żydami.

Wypierają się wprawdzie żydzi takiej perfidyi, ale niestety fakta mówią przeciw nim. Całymi dniami czychali oni na naiwnych właścicieli książeczek Kasy Oszczędności, opowiadali im niesłychane rzeczy o rzekomem bankructwie tej instytucyi i za bezcen wyłudzali od nich owe książeczki. Zresztą zbyt dobrze znamy tych chytrych pejsaków, by uwierzyć ich zapewnieniom. Powtarzamy więc ze zdwojonym naciskiem: Z żydami ostrożnie jak z ogniem, na żydów baczność, jak na wszystko gruchocący pociąg, od żydów zdaleka jak od z....y! Jeśli tego nas przynajmniej nauczą straty Kasy, to kraj niedrogo je opłacił.

Dużoby się dało powiedzieć jeszcze na temat Kasy, ale lepiej może zrobimy, nie rozwlekając sprawy w nieskończoność, bo poco podsycać panikę, po co zaostrzać antagonizmy; lepiej zrobi każdy dziennik zaprzestając wszelkich rekryminacyj, bo w ten sposób zapewni Kasie spokój i normalny rozwój, a zarazem zaufanie publiczne.

Dla braku miejsca wiadomości z zagranicy drukowane być nie mogły.

KRONIKA.

Echo przemyskie, świetnie redagowane czasopismo, wychodzące dwa razy tygodniowo w Przemyślu, które już od samego początku wydawnictwa te same objawiało tendencye, jakie ma nasze stronnictwo, oświadczyło w nrze 10 z dnia 2 lutego b. r., że program stronnictwa kat. narodowego przyjmuje w zupełności, że staje razem w jednym szeregu, pod jednem hasłem: «W jedności z Bogiem, w pracy z narodem» — i że pod jednym sztandarem walczyć będzie przeciw wspólnemu wrogowi wiary i ojczyzny. *Echo* jest odtąd sprzymierzonym organem stronnictwa naszego i uwidoczniło to już w tytule napisem: *organ stronnictwa katolicko-narodowego.*

Duchem byliśmy zawsze razem, teraz ramię do ramienia stajemy do walki, a towarzysz nasz broni, to siła niełada. Dlatego winszujemy sobie z całego serca, że zechciał stanąć z nami pod jednym sztandarem i że ofiarował nam do pomocy swe wypróbowane siły. Walczyć teraz będziem z tem większą otuchą i da Bóg, wnet w kraju zaroi się od naszych szeregów, i pod sztandarem naszym staną wszyscy ludzie dobrej woli.

Na kościół polski w Budapeszcie złożyli pani M. Sasowa 2 zlr., Avena 70 ct.

Na fundusz prasowy ks. Konopnicki w Oświęcimiu 1 zlr. 25 ct.; I. Z. 50 ct.; ks. F. N. 50 ct.; robotnicy z Dąbia 24 ct.; K. R. 10 ct.; Fr. Ma. 15 ct.

Druk W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie. Redaktor odpowiedzialny: Józef Ligęza. — Wydawca: Antoni Stróżyński.